

GRABIŃSKI STEFAN

W WILLI NAD
MORZEM

Grabiński Stefan
W willi nad morzem

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23531306

W willi nad morzem:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

12

Stefan Grabiński

W willi nad morzem

Krągłe, miękko zwiewne obłoczki dymu wysnuwały się z wolna z kształtujących je ust, położyły w karbowanych falisto pierścieniach i roztopiały na lazurowym tle nieba. Cygara były wyborne; delikatnie zwinięte liście żarzyły się wonnie, ułatwiając soczystą, szlachetnie ześrodkowaną treść. Paliliśmy powoli, zaciągając się z maestrią, jak znawcy. Znakomite miał hawana Ryszard Norski.

Przymknąłem senne nieco poobiedną porą oczy i z rozkoszą rzuciłem się wstecz w ramiona bujaka. Dobrze mi tu było i wygodnie.

Siedzieliśmy na marmurowym tarasie willi wysoko wzniesionej nad brzegiem morza. Stąd widziałem je jak na dłoni. Lśniący jak lustro, zdobny mozaiką taras, na którym stały nasze stoliki z czarną kawą, był na jednym poziomie z murem okalającym willę.

Morze drzemało. Dziewiczy szmaragd wełn¹ wydawał się ciemniejszy, jako zwarty w masie i nie podrywany wiatrem. Od czasu do czasu leniwy odruch roztoczy wspinał się pluszczącą pieszczotą na brzeżne załomy i splukawszy skały, powracał bezwładnie w łóżysko. Czasem skrzydlata flotyla barek, piórolekkich łodzi, wymknęła się z uwięzi portowej i

¹ wełny (daw.) – fale. [przypis edytorski]

powiewając koszenilową² banderą, sunęła chyżo po łagodnej fali. Czasem na horyzoncie przewinał się smukły jacht spacerowy i szeptał w dali, wlokąc za sobą długi cylinder dymu...

I przystań zdrętwiała w skwarze południa. Ustała praca w dokach, zamilkły gwizdy świstawek, zwinęły skrzydła parowe albatrosy i cicho, opróżnione, stały na kotwicach.

Gdzieś zabłąkał się na pokładzie ogorzały od wiatrów majtek i siadłszy na zwoju lin, nucił nieśmiertelną *Palomę*. – Gdzieś przesunął się jak cień wśród czarnych kadłubów pilot portowy i uwiązawszy łódkę łańcuchem u brzegu, zniknął w czeluściach hali wchodowej...

Zresztą senność i spokój. Godzina popołudniowego wczasu³...

Cofnąłem rozmarzone słodkim lenistwem oczy z linii morza i zatrzymałem na najbliższym otoczeniu pod tarasem. Przesuwałem się z lubością po jedwabistych piersiach róż, ślizgałem lekko po kwiecistych gałązkach magnolii, pomarańcz, błądziłem w myśli rozkochaną dłonią po smukłej kibici⁴ tuj.

– Rozkosznie u ciebie, Ryszardzie. Mieszkasz jak król. Nie chce mi się stąd ruszać. Tu wszystko upaja, czaruje.

Uśmiechnął się zadowolony pod ciekim kruczym wąsem.

– Podoba ci się? To dobrze. Istotnie niezłe mieszkanko na lato.

Mówił powoli, podobnie jak ja znużony upałem pory

² *koszenilowy* – czerwony (od nazwy barwnika). [przypis edytorski]

³ *wczas* (daw.) – odpoczynek. [przypis edytorski]

⁴ *kibic* (daw.) – talia. [przypis edytorski]

poobiednej.

Bawiłem⁵ u niego w gościnie od tygodnia, odwiedziwszy po wielu latach niewidzenia się. Ryszard Norski był mym dalekim kuzynem i kolegą szkolnym. Po ukończeniu liceum drogi nasze rozeszły się. Odnowiliśmy stosunki jako mężczyźni dojrzały. Ryszard był wtedy już wdowcem. Niegdyś znałem go dość dobrze. Ambitny do szaleństwa, w przystępie zazdrości umiał być straszny. Pamiętam, gdy raz jeden z kolegów opisał wiosnę piękniej od niego, wymierzył mu policzek i w wywiązanej stąd bitce ciężko go zranił.

Szczególnie wygórowaną była ambicja Ryszarda na punkcie sławy literackiej. Już na szkolnej ławie marzył o rozgłosie wielkiego pisarza. Czy urosczenia jego miały jaką racjonalną podstawę, jako niekompetentny powiedzieć nie mogę. Podobno nie był bez talentu. Zresztą nie śledziłem postępów jego na tym polu, oddany mym zawodowym pracom. Tylko od czasu do czasu słyszałem od znajomych, że pisze i wydaje.

Potem ożenił się bogato i podobno szczęśliwie.

Pani Róża Norska należała w swoim czasie do piękności stolicy; o względy jej ubiegała się najświetniejsza młodzież w kraju. Posiadł ją Ryszard. Czy wyszła z miłości, nie wiadomo. Chodziły wersje o serdecznym stosunku, który miał ją łączyć przed małżeństwem z pewnym młodym poetą, podobno nawet przyjacielem Norskiego. Dlaczego oddała rękę innemu, po dziś dzień jest dla mnie zagadką. Może tamten był zbyt dumny, by

⁵ *bawić* (daw.) – przebywać. [przypis edytorski]

pojąć za żonę bogatą Różę z Wrockich, może ona postanowiła o jego losie inaczej. Sprawy mi nie znane, już dawno zasnute przeszłością. Mówią, że była kobietą ekscentryczną i rządziły nią chwile. Została żoną Ryszarda.

Znaczny majątek, który mu wniosła za sobą, pozwalał Norskiemu na życie wystawne, bez troski.

Podróżował dużo, jesienie i zimy spędzał stale na południu. Pani Róża, odumierając go, zostawiła mu w spadku synka Adasia i wielką fortunę.

Odnalazłem go po piętnastu latach mężczyzną w sile wieku, rośłym i tego zbudowanym. Lubiałem go i z przyjemnością zajechałem doń na czas dłuższy. Łączyło mnie z nim zamiłowanie do piękna i wytwornego trybu życia, przynęcało wcale⁶ wysokie pojęcie o jego inteligencji i poziomie umysłowym. Poza tym był kolegą lat młodych i dalekim kuzynem. Być może kazało mi zawitać w jego progi jeszcze i coś innego, czego określić nie umiem, jakaś siła przyciągająca nieświadomie z dali, szczególny przypadek, nie wiem...

Przytknął do soczystych pąsowych warg czarękę z czarną kawą i wychyliwszy do połowy, wyjął ze srebrnego puzdra⁷ świeże cygaro.

– Gdzie podział się Adaś? – zapytałem, przypominając sobie chłopca, który przed chwilą jeszcze głośno swywoilił dookoła

⁶ *wcale* (daw.) – całkiem. [przypis edytorski]

⁷ *puzdro* – rodzaj pudła z szufladkami i przegródkami. [przypis edytorski]

gazonu⁸.

– Pewnie znowu koło altany.

I podniósłszy się z fotelu, zawołał dość ostro na syna.

W tej samej niemal chwili wypadł z bocznej ścieżki i stanął na stopniach tarasu szczupły, dziesięcioletni chłopczyk o jasnych, na ramiona spadających kędziorach. Czarne, smutne oczy dziecka z pewnym lękiem spoczęły na twarzy ojca.

– Gdzie byłeś!? Dlaczego kryjesz się ciągle po kątach?

– Byłem w altanie, tatusiu, czytałem książkę.

– Dlaczego tam wiecznie zagładasz? Tyle ci już razy mówiłem, żebyś się bawił tu, na słońcu. Nieposłuszny jesteś, Adasiu.

Błądą, nerwową twarz chłopca omroczył cień żalu. Cicho pocałował ojca w rękę i odszedł w głąb domu...

– Właściwie nie rozumiem, dlaczego mu zabraniasz przebywać w altanie? – zapytałem po krótkim milczeniu. – Chłodnik⁹ jest bardzo przyjemny, zwłaszcza przy dzisiejszym upale.

– Boję się, czy właśnie tam nie będzie dlań za chłodno. W tym kącie pod murem jest utajona wilgoć. A on, jak ci wiadomo, dość wrażliwy na podobne rzeczy.

Mówił spiesźnie, nie patrząc na mnie, widocznie niezadowolony z mej interwencji. Zauważywszy jego rozdrażnienie dałem pokój i zmieniłem temat. Zaczęliśmy

⁸ *gazon* – ozdobny trawnik z krzewami i kwiatami. [przypis edytorski]

⁹ *chłodnik* (daw.) – altana. [przypis edytorski]

rozprawiać o literaturze, o jej najnowszych prądach i wpływach zagranicy. Ryszard ożywił się i ze swadą wtajemniczał mnie w objawy literackie ostatniej doby, nie omieszkując wspomnieć i o sobie. W końcu zaproponował mi, czy bym nie zechciał posłuchać kilku jego utworów. Przystałem z prawdziwą przyjemnością. Za chwilę wyniósł z pokoju wiązkę rękopisów i zaczął czytać.

Były wiersze. Wprawdzie znawcą nie jestem, lecz niegdyś czytałem dużo i odczuwam poezję dość silnie. Utwory Ryszarda zrobiły na mnie szczególne wrażenie. Forma była bez zarzutu. Wzorowe sekstyny toczyły się gładko, rytmicznie. Treść była przeważnie myślowa. Rzecz jednak szczególna: zdało mi się, że podobne wątki już gdzieś raz słyszałem.

Poematy Ryszarda wyglądały jakby ciąg dalszy, konsekwentne rozwinięcie motywów dawniej mi gdzieś znanych. Nie było to to samo, lecz jakby stylowe przedłużenie.

Tak, należałoby się spodziewać, tworzyć będzie ktoś, którego dawniej gdzieś czytałem. Lecz była między tymi dwoma ludźmi zasadnicza różnica: tamten, którego nazwiska nie mogłem sobie na razie przypomnieć, pisał sercem i stąd jego liryka refleksyjna wzruszała; utwory Ryszarda natomiast lśniły jak brylantowa klinga blaskiem zimnym, lodowo-skrzącym; wiało od nich wytwornym chłodem. To był całkiem inny człowiek. – Lecz kto był tamten drugi?

Chęć przypomnienia sobie była tak silną, że mimo woli przestałem słuchać z uwagą Ryszarda i wyteżyłem całą pamięć

w poszukiwaniu zgubionego nazwiska. Nagle zabłyśło mi na mglistym ekranie przeszłości czerwonymi głoskami: Stanisław Prandota.

Tak! To on!

Wynurzenie się tego nazwiska z mroków zapomnienia wstrząsnęło mną do głębi, nawodząc na myśl jego przedwczesną śmierć.

Prandotę poznałem niegdyś osobiście za pośrednictwem Ryszarda, z którym łączyły go rzekomo stosunki przyjazne. Subtelny, pełen wysokiej kultury umysł młodzieńca zadziwiał mnie już wtedy i kazał rokować piękne nadzieje. Umiał przedziwnie pogodzić skłonność do refleksji filozoficznej z głęboką, serdeczną uczuciowością, która przeglądała z oczu przepojonych cichą melancholią.

Po raz ostatni widziałem go przed laty u Ryszarda w dzień mego rozstania z kuzynem. Potem nie spotkaliśmy się już więcej w życiu. Przed miesiącem miał zatonać podczas burzy na „Jaskółce”, parowcu, którym odbywał podróż ku brzegom Południowej Ameryki. W liście pasażerów, pozostawionej przez kapitana statku w porcie, umieszczono na czele jego nazwisko. Wprawdzie, jak donosiły później dzienniki, parę osób nie zgłosiło się w porę na pokład odjeżdżającej „Jaskółki”, lecz nazwisk nie podano. W każdym razie odtąd nikt nigdzie Prandoty nie widział. Bardzo tedy prawdopodobnym, prawie pewnym było przypuszczenie, że zginął na morzu podczas nawałnicy. Tak też zgodnie powtarzały wszystkie pisma.

Zginął młodo, wzbudzając powszechny żal u tych, co umieli ocenić tkwiące w jego początkowych utworach zarodki pierwszorzędnego talentu.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.